

Modlitwa wewnętrzna

Rozdział 9 Aspekty ciszy

Ile zaś samotność i cisza pustelni
niesie miłośnikom swoim pożytku
i boskiej radości
(św. Brunon, list do Radulfa).

Listy św. Brunona, napisane z całym zapalem serca, są od początku do końca rodzajem wyznania wszystkiego, co Pan zesłał mu do odkrycia. Odnosi się to zwłaszcza do zachwyty pełnego pasji, dla korzyści płynących z samotności i ciszy, którym dzieli się z Radulfem. „Wiedzą ci tylko, którzy tego doświadczyli” - pisze. Po czym od razu ukazuje przyjacielowi całą swą wiedzę na ten temat. Św. Brunon był mężem ciszy i zbadał jej tajemnice. Nasze Statuty, za przykładem naszego Ojca, powracają wielokrotnie do piękna ciszy i jej świętości wnoszonej do naszego życia. Niech nas teraz poprowadzą, kiedy słuchamy św. Brunona dającego nam przez Statuty pouczenia o ciszy.

Zachowanie milczenia nie jest postawą spontaniczną, lecz wymaga ono z naszej strony świadomej decyzji. Aby zagłębić się w ciszę, należy prawdziwie jej pragnąć, a nade wszystko człowiek musi wiedzieć, dlaczego chce milczeć. Jeśli mamy zamiar stać się ludźmi ciszy, musimy dążyć do osiągnięcia jej z pełną odpowiedzialnością.

Doświadcza się tego na różnych poziomach. Przede wszystkim w stosunku do innych: „Nasza miłość do braci powinna się objawiać po pierwsze w szacunku dla ich samotności (1.4.4–4.12.5)”. Każdemu z nas powierzono zewnętrzną, a nawet wewnętrzną ciszę tych, którzy nas otaczają. Cisza rzadko

jest sprawą czysto osobistą. Nasza rola w stosunku do braci sprowadza się w pierwszym rzędzie do stanowiska vis-a-vis z ciszą zewnętrzną; to od nas zależy, czy nasze najbliższe otoczenie narażone jest na skupienie czy rozproszenie. Wpływa na to troska, z jaką odnosimy się do tego, by nasza postawa emanowała pokojem i ciszą. „Miejsca, gdzie (bracia) pracują, jak i te, gdzie mieszkają, mają być tak urządzone, aby sprzyjały wewnętrznemu skupieniu (...) powinno być oczywiste, że jest to dom, gdzie mieszka Bóg, a nie zwykłe świeckie budynki” (2.11.3). Nasz wpływ na innych sprowadza się do liczby słów, z którymi się do nich zwracamy, a może jeszcze bardziej do jakości tych słów, które mają służyć skupieniu, a nie rozproszeniu. „Jeśli przypadkowo zdarzy się, że wiemy coś o sprawach tego świata, musimy uważać, by nie powtarzać tego innym; wiadomości światowe powinny pozostać tam, gdzie je usłyszano” (1.6.7–2.13.4).

Odpowiedzialność za naszych współbraci, chociaż prawdziwa, jest tylko znakiem znacznie większej odpowiedzialności, jaka na nas spoczywa wobec wszystkich ludzi: „Wybierając życie ukryte, nie opuszczamy wielkiej rodziny ludzkiej, przeciwnie – oddając się wyłącznie Bogu, sprawujemy wyjątkową rolę w Kościele” (4,34,1). Oznacza to, że jakość naszej ciszy to nie prywatna sprawa między nami a Bogiem. Źródło ciszy i bliskości Bożej powinno wytryskać z naszego serca na cały wszechświat. Możemy czasem narzekać na hałas, który rozprasza serce w świecie, ale czy częściowo to nie nasza wina, jeśli nie spełniamy naszej funkcji źródła ciszy?

Nasza odpowiedzialność za innych przyjmuje takie rozmiary, bo w końcu przed samym Bogiem zdamy sprawę z powierzonej nam ciszy. „Oddanie Duchowi, który mieszka w nich (...) wymaga od nich, aby wazyli swoje słowa i uważali na to, co mówią” (2.14.4). Świątynia Boga, którą jesteśmy, nie może być profanowana, przede wszystkim, jeśli wiemy, że Bóg wybrał nas osobiście, abyśmy oddawali Mu cześć w tym przybytku. Tak więc to w obecności samego Boga mamy zrewidować nasze poczucie odpowiedzialności: „Dlatego niech każdy słucha Ducha, który w nim mieszka, i określi co może przyjąć do wiadomości, bez szkody dla wewnętrznej rozmowy z Bogiem” (1.6.6–2.13.10). Bóg, w istocie, jest milczący i w tym jest dla nas wzorem. Ale na ile wejdziemy w głębię Bożej ciszy – to kwestia naszej wolności, Bóg daje nam prawo wyboru: „Teraz już nie dziecko, ale mężczyzna, niech nie będzie miotany tu i tam każdym nowym podmuchem, lecz raczej niech szuka tego, co miłe jest Bogu i spełnia to dobrowolnie, radując się w twórczej mądrości wolnością dzieci Bożych, troszcząc się o to, z czego rozliczy się przed Panem” (zob. 4.33.2).

Są tacy, co czasami narzekają, że samotność stopniowo ich wypacza, bo nie pozwala im ćwiczyć i doskonalić ich ludzkiej odpowiedzialności. Czy nie oznacza to, że jeszcze nie oddali się prawdziwie dążeniu do ciszy? Jeśli Statuty sugerują nam unikanie takiego czytania, które mogłoby zaburzyć wewnętrzną

ciszę, dodają następnie: „Oczywiście, taka nauka zakłada dojrzałość umysłu, który jest panem samego siebie i wie, jak przyjąć uczciwie wszystko, co wynika z najlepszej części, jaką obrali – siedzenia u stóp Pana i słuchania Jego słów” (1.6.5–2.13.11). Taka jest nasza prawdziwa odpowiedzialność, wielka i nieodparta w ukryciu naszej celi, jakby była spełniana na oczach wielkiej rzeszy. Polega na uczciwości, z jaką chcemy być wierni zobowiązaniom, które podjęliśmy, a jej miarą ma być to, na ile jesteśmy szczerzy wobec Boga, który przemawia do naszych serc.

Mówimy o wejściu w ciszę. Ale na czym polega cisza kontemplacyjna? Czy to tylko upadek bezwładnego kamienia w dół bez wyjścia? Nie zawsze możemy uniknąć błędu fałszywego uznania za prawdziwą ciszę stanu modlitewnego tak obrazowo opisanego przez ten przykład. W istocie cisza wymaga „spokojnego słuchania sercem, które pozwala Bogu wejść przez wszystkie drzwi i przejścia” (zob. 1.4.2). Cisza jest słuchaniem, a nie nerwowym oczekiwaniem na słowo, które uderzyłoby nasze uszy czy wypełniło serce – jest to spokojna gotowość na przyjęcie Tego, który obecny w najgłębszym naszym jestestwie, działa w nim bezgłośnie. Dlatego często samotność określa się jako „ziemię świętą, miejsce, gdzie – podobnie jak człowiek z przyjacielem – Bóg i Jego sługa często z sobą rozmawiają; tam wierząca dusza często jednoczy się ze Słowem Bożym, tam oblubienica staje się jednym z Tym, który ją uwiódł, tam ziemia łączy się z niebem, to co boskie – z ludzkim” (1.4.1–1.12.1). W istocie cisza łączy w sobie brak słów na ustach i w sercu z ożywionym dialogiem z Panem. Nie rozwódźmy się zbyt na ten temat, ale powróćmy do wyznania św. Brunona: „Owoc ciszy zna ten, kto jej doświadczył. Bóg prowadzi nas do samotności, aby przemawiać do naszego serca” (1.4.11). Cisza polega na tym, by pozwolić Panu wypowiadać w nas słowo równe Jemu samemu. Dociera ono do nas bez naszej wiedzy, tak że nie potrafimy określić jego kształtu, a mimo to najważniejsze Słowo przychodzi i znajduje oddźwięk w naszym sercu.

Stąd nigdy nie może nas zadowolić zwykłe milczenie warg. To byłaby postawa zaledwie faryzejska, powierzchowne zachowanie, dalekie od tej czystości serca, która jedynie zasługuje na obietnicę oglądania Boga. Aby ją osiągnąć, potrzebne jest wielkie samozaparcie, dotyczące zwłaszcza wrodzonej ciekawości spraw ludzkich. Nie możemy pozwolić naszym umysłom wędrować w pogoni za nowinkami i plotkami, przeciwnie, nasza rola – to skryć się w miejscu chronionym obecnością Pana (1.6.4–1.13.1).

Rzeczywiście, tak łatwo pozostawać w ciszy swej celi, podczas gdy umysł wędruje. Któż tego nie doświadczył? W takiej sytuacji, wciąż jesteśmy z dala od ciszy, nawet kiedy wargi są zamknięte, a ręce złożone. „Nasza częśćka – to pozostawać w ukryciu pod osłoną obecności Pana” (id.). Skupienie wymaga nie tylko surowej kontroli wyobraźni; musimy zredukować niezdyscyplinowane i burzliwe działania wszystkich naszych zdolności

poznania i emocji. „Skupieni więc na bogatej materii prawdy, a nie na mocy słów, zbadajmy Boże tajemnice z pragnieniem poznania wypływającym z miłości i z kolei rozpalającym miłość” (1.5.2). Na tym polega wielka lekcja mądrości: niezależnie od tego, jak delikatna i subtelna byłaby praca naszego intelektu, nie osiągnie on ciszy, jeśli pokornie nie podda się miłości, która słucha i znajduje cel w osiągnięciu zupełnego zrozumienia. „W samotności czytamy nie po to, aby uzyskać najnowsze wiadomości, ale tak, aby nasza wiara nakarmiła się pokojem” (3.21.11). Istotne dla nas nie jest to aby myśl była nowa czy błyskotliwa. Oczekujemy, że będzie ona źródłem światła Bożego, światła zrodzonego w pokoju. Cisza – to zdolność słuchania, które pozwala nam poznać Boga bez konieczności mówienia nowych rzeczy.

Taka uwaga nastawiona na Boga może być jedynie owocem ogólnego wyciszenia całej osobowości. Niekontrolowane namiętności, które przenikają naszą zmysłowość, lęki, nadmierne radości – wszystkie one powinny stopniowo znaleźć uporządkowanie, z Bożą pomocą, lecz także dzięki wszystkim rodzajom mądrych praktyk.

Dzięki pracy rąk mnich ćwiczy się w pokorze, opanowuje całe swoje ciało i – co ważniejsze – osiąga stałość umysłu (...) Czasami zdarza się, że ciężar pracy działa jak rodzaj kotwicy dla upadków i odpływów naszych myśli, umożliwia dzięki temu utwierdzenie naszego serca w Bogu bez wysiłku myślowego (1.5.3).

Słuchanie Pana przestaje już być udziałem intelektu czy zmysłowości, staje się komunią całego naszego jestestwa z obecnością Tego, który podtrzymuje je i przemienia życie w miłość.

Jeśli dzięki dobroci Boga i po długich, wytrwałych wysiłkach, uda się nam ustabilizować taką postawę, zbliżymy się do stanu samotnej duszy, która „jak spokojne jezioro, którego wody zasila najczystsze źródło Ducha, nie poruszane przez wiadomości płynące z zewnątrz, odbija na podobieństwo lustra jeden tylko obraz – obraz Chrystusa” (2.13.15). Takie jest „ostatnie słowo” w dialogu, który Bóg chce z nami prowadzić; przemienić nas w bardzo prosty obraz swego Syna.

Prawdziwa cisza nie jest kwiatem jednodniowym, który zrywa się w zarodku. To owoc dojrzewający za cenę długich i kosztownych zabiegów. Przede wszystkim, aby zachować milczenie, trzeba się najpierw ciężko napracować, bo sprzeciwia się ono naszym naturalnym skłonnościom, którym zwykliśmy się poddawać. „Jeśli jesteśmy wierni, wtedy na fundamencie ciszy, która jest w nas, zrodzi się coś, co pociągnie nas ku jeszcze większej ciszy” (1.4.3–2.14.1). Przyjdą dni, kiedy będzie nam potrzebna odwaga, żeby wiernie iść drogą milczenia. Wiemy, że oznacza to cios mieczem w nasze wnętrze; pokój pojawi się tylko wtedy, gdy jego przeciwności zostaną wygnane.

„Podróż jest jednak długa, i trzeba przejść drogę suchą i jałową, aby dotrzeć do źródła wody w ziemi obiecanej” (1.4.1–2.12.1). Porównania zastosowane w Statutach wydają się zniechęcające, ale nie są przesadzone. Nie rozpoczynajmy lekkomyślnie drogi prawdziwej ciszy. To jest długie i wymagające przedsięwzięcie; nieludzkie byłoby pozbycie się z dnia na dzień wszystkich różnorodnych przyzwyczajzeń, które są w nas zakorzenione. Byłoby jednak nieuczciwe wejść na tę drogę, jeśli nie byłoby się zdecydowanym na przejście długich dystansów bez wyrzeczenia się tego, co zaspokoiłoby nasze pragnienie. Wszelkie rodzaje kontaktu z otoczeniem, które mogłyby nas pokrzepić, muszą zniknąć. Liczne wewnętrzne satysfakcje, które nas odrywają od właściwej drogi, a nawet dają poczucie bezpieczeństwa, są skazane na zanik w tym jałowym miejscu, gdzie się ujawniają. Izrael na pustyni, Jezus podczas czterdziestu dni – to wzory które mamy naśladować nie tylko w samotności, ale chyba jeszcze bardziej na naszej drodze ciszy. Nie braknie nam pokus i niepowodzeń. „Niech nowicjusz nie zniechęca się pokusami, które są udziałem naśladowców Chrystusa na pustyni; niech też nie ufa swoim własnym siłom, ale Panu, który go powołał i doprowadzi do doskonałości pracę, którą rozpoczął” (1.8.13).

Ostatecznie jednak to sam Pan będzie najcięższą próbą do zniesienia, jeśli zgodzimy się naśladować Go aż do serca ciszy. „Nikt nie może dotrzeć do celu, jak tylko za cenę twardej walki; zarówno w surowym życiu, wiernym prawu krzyża, jak i w dobrowolnym przyjęciu trudności, przez które Bóg chce go wypróbować, jak złoto w tyglu” (zob. 1.3.2). W istocie, któż mógłby sprostać Bożej ciszy i spalić się w trawiącym ogniu, którym jest sam Bóg? Wkroczenie w ciszę oznacza spotkanie Boga w Jego domu – niewątpliwie właściwy ideał, ale musi sprawić w nas ogromne przemiany. Nie można zmierzać do tego celu, nie wiedząc, że „po oczyszczeniu przez noc cierpliwości, pod osłoną i przy wsparciu (...) medytacji Pisma Świętego, i pod kierownictwem Ducha Świętego w głębi duszy, człowiek jest teraz gotów nie tylko służyć Bogu, lecz nawet przyłączyć się do Niego w miłości” (id.).

Ogień walki, jaką podjęliśmy, ma sens tylko wtedy, gdy oparta jest ona na surowej pokorze. Pierwszy znak obecności pokory to skromność, z jaką docieramy do ciszy. Ta ostatnia nie leży w naszym bezpośrednim zasięgu; musimy mieć pokorę wytrwałości: „Dobrze jest dla człowieka czekać na Boże zbawienie w ciszy” – powiedział już Jeremiasz. Guigo uzupełnił to nauczanie, dodając: „Pustelnik będzie siedział w milczeniu, bo wzniesie się ponad siebie” (id.). Aby wejść w ciszę, musimy cierpliwie pozostawać spokojni, bez szemrania czy pychy.

Inny nieodzowny aspekt pokory sprawia, że prawdziwą ciszę uznajemy za wyłączny dar Boga. Oczywiście, powinniśmy pomnażać nasze wysiłki z roztropnością i wytrwałością, ale nie łudźmy się – pragnienie osiągnięcia ciszy własnymi siłami doprowadzi nas do samozniszczenia bez osiągnięcia celu.

„Bóg wyprowadza swego sługę na pustkowie, aby przemawiać do jego serca” (2.14.1). Początkiem naszej ciszy może być tylko Bóg, który powołuje; chęć osiągnięcia skupienia własnymi siłami – to zanurzenie się w głupią przygodę. „Tylko ten, kto słucha w ciszy, słyszy szept delikatnego powiewu, który objawia obecność Pana” (id.). Od chwili, kiedy zrozumiemy, że Pan zaprasza nas, aby pójść za Nim tą drogą, powinniśmy wyrazić gotowość, ale – jak Eliasz na szczycie Horebu – nie znajdziemy ciszy ani w wichurze, ani w trzęsieniu ziemi, ani w ogniu. Cisza zstąpi na nas w postaci delikatnego powiewu, bo zrodzona jest z samego Boga.

Cisza jest dziełem Boga, ale jest czymś znacznie więcej, niż to, co powiedzieliśmy – to słowo Boże. Tam leży ostateczny korzeń pokory, która musi stać się naszą najważniejszą cechą, jeśli chcemy odkryć źródło ciszy w naszym sercu. Naszym drogowskazem powinna być Maria siedząca u stóp Pana: „Niech Marta zgodzi się z siostrą, bo ona idzie śladami Chrystusa, w milczeniu rozpoznaje w Nim Boga” (1.3.9). Maria prawdziwie weszła w ciszę: w głębi, poza słowami wypowiedzianymi przez Jezusa, wyczuła, że jest On Synem przedwiecznym. Jej wysiłek był niedostrzegalny – ona „oczyściła ducha, modliła się z głębi duszy, nasłuchiwała głosu Boga w swoim wnętrzu”. Ale ten wysiłek nie jest miarą wyniku – ma on inną naturę, która całkowicie wymyka się zrozumieniu przez stworzenie: „W ten sposób smakuje ona i widzi – w najmniejszej możliwej mierze, tak jakby w ciemnym zwierciadle – jak dobry jest Pan” (id.). I tak pewnego dnia dojdziemy, jeśli Bóg da nam potrzebne siły i delikatność, do prawdziwej ciszy, która zdecydowanie przetrwa wszystkie słowa.

Rozdział 10

Modlitwa – misterium ciszy

Sprawować modlitwę. Określenie jest dziwne, bo sugeruje wykonywanie jakiejś czynności, osiągnięcie efektu. Wykonywanie lub tworzenie. Stajemy wobec starej pokusy zachodniego myślenia kontemplacyjnego, które symbolizuje kuglarz z Notre Dame. Historia jest o tyle poruszająca, bo pokazuje, że Bóg zwraca niewiele uwagi na to, co się robi, bo patrzy na serce, a nie na uczynki. Dlatego trzeba zauważyć, że biedny kuglarz nie wiedział, że aby dać Panu to, co najlepsze, wystarczy pozwolić swemu sercu pozostawać w spoczynku wobec Niego. Musiał dać występ kuglarski. To nie Maryja chciała

oglądać jego taniec, to on sam miał potrzebę działania. To było jego sprawowanie modlitwy.

Problem sprawowania modlitwy czy ciszy nie istnieje. Ciszy nie można „zrobić”. Kiedy człowiek przychodzi przed Pana z umysłem pełnym obrazów, z silnymi emocjami, a jego myśli są w nieustannym ruchu, wtedy odczuwa potrzebę milczenia i staje wobec pokusy, żeby „stworzyć” ciszę. Tak jakby to był problem ubrania się w ciszę, zarzucenia na wszystkie szmery zasłony, która by je ukryła i wygładziła. W takiej sytuacji nie milczymy, ale raczej przykrywamy szumy lub zamykamy je w sobie, tak że w każdej chwili, przy najmniejszej okazji, gotowe są wyłonić się. Nie ma potrzeby, żeby tworzyć ciszę lub zaszczepiać ją z zewnątrz. Ona już w nas jest, pozostaje kwestia, żeby pozwolić jej podnieść się z naszego wnętrza, tak że sama jej obecność wyeliminuje hałas, który nas rozprasza i atakuje. Cisza może być nicością, tak jak cisza kamienia, cisza głuchego umysłu, martwego w wyniku kontaktu z materią i tym, co zewnętrzne. To nie jest prawdziwa cisza. Jedyna cisza, która się liczy, jest obecnością Tego, który jest niematerialny.

Czy modlitwa często nie oznacza powracania stopniowo i po prostu do prawdziwej ciszy? Na pewno nie przez robienie czegoś lub nakładanie czegoś w rodzaju jarzma lub ciężaru na siebie, lecz przeciwnie – przez zgodę na to, aby krok po kroku ustawała aktywność i ustępowała wobec prawdziwej, wewnętrznej ciszy, która zacznie umacniać się i zajmować należne jej miejsce. Jeśli raz usłyszymy taką ciszę, będziemy za nią tęsknić. Musimy jednak uwolnić się od przekonania, że sami z siebie możemy ją odtworzyć. Ona jest w nas, nawet kiedy jej nie słyszymy. To prawda – są dni, kiedy niemożliwe jest uchwycić ją, bo młyn umysłu miele i niepodobna zatrzymać pracy wyobraźni i zmysłów. Jednak cisza na pewno czeka w głębi naszej woli, jako spokojna i łagodna zgoda na hałas i zakłócenia, które opóźniają nasze wyciszenie umysłu. Normalnie jednak powinno to być możliwe dzięki pewnym fizycznym i intelektualnym praktykom ascetycznym (oddech, postawa itp.), żeby uspokoić nieuporządkowane impulsy umysłu, aby w końcu uzyskać nieco spokoju. Na pewno cisza jest czymś o wiele głębszym niż wszystkie uznane formy medytacji: *lectio divina*, światła od Pana, które pozwalają nam penetrować Jego misterium, refleksje na tematy, które zasługują na naszą uwagę. To wszystko jest dobre i pomaga nam zbliżyć się do prawdy i w swoim czasie jest rzeczywiście konieczne.

Cisza jednak jest czymś głębszym i nic nie może jej zastąpić. Są dni, kiedy musimy poddać się ciszy, aby dać naszemu duchowi pokarm, którego potrzebuje. Nie powinniśmy wszakże upajać się winem półprawdy, która wydaje nam się jasna – nasze pragnienie jest głębsze i zmierza do prawdy jak najbliższej Prawdzie absolutnej. Tylko cisza, nawet jeśli jest ciemnością, pociąga nas ku pełnemu światłu. Jest tak, że nawet dzieło Boże objawia nam swe bogactwo tylko wtedy, gdy niesie ciszę. Oficjum tylko wtedy osiąga

równowagę, kiedy tchnie w głębię naszej duszy ciszę ukrytą w odwiecznym Słowie.

Dlatego nie możemy nic robić. Nie mamy nic do dania. Bóg nie oczekuje od nas małych darów. Nie potrzebne Mu są woły ani kozły – to, czego chce, to duchowa ofiara naszych serc. Czy oznacza to, że jeśli nie mamy niczego zewnętrznego do ofiarowania, mamy oddać siebie samych? Nawet nie to. Bóg nie chce, żebyśmy się angażowali, wymyślali reguły czy metody na ofiarowanie siebie. Jeśli dobrze się nad tym zastanowić, to co właściwie miałyby to znaczyć? Wyjść poza siebie? Ale to znaczyłoby stracić siebie, odmówić bycia sobą, wziąć duszę we własne ręce i ofiarować ją Bogu. Jeśli więc nie jest to problem złożenia formalnej ofiary, czy nie powinniśmy zatem otrzymać daru z ręki Boga? Także nie to. Nie otrzymujemy daru od Boga ani dużego, ani małego, bo otrzymujemy samego Boga. Co to jednak znaczy z kolei? Czy przychodzi On do nas w majestacie, w królewskiej chwale? W rzeczywistości jesteśmy świadomi, że jeśli milczymy, Bóg nie mówi do nas ani nie objawia się nam w żaden sposób, a jednak daje nam siebie.

Bóg daje nam siebie. Musimy być ostrożni, żeby nie zachowywać się jak żaby i nie nadymać się, aby stać się tak wielkim jak Bóg. Dar Boga nie jest dla nas czymś obcym, a w pewnym sensie, zupełnie się od nas nie różni. Dlatego Bóg, aby dać nam siebie, daje nam nas samych. Daje mi to, że jestem dzieckiem Bożym, wciąż odradzającym się na nowo. Doświadczenie pokazuje, że cisza przywraca nas samym sobie. Niebezpieczeństwem mogłoby być skoncentrowanie się na sobie i pogrążenie się w samozadowoleniu. Żeby być prawdziwie sobą, trzeba zaczerpnąć z głębi źródeł naszego bytu lub – ściślej mówiąc – trzeba stać się źródłem wytryskującym i zasilanym z serca samego Boga. Bóg stwarza nas z miłości i nasza istota, którą otrzymaliśmy od Niego, wypływa z miłości. W tej samej chwili stajemy się sobą i otrzymujemy samego Boga. I tak Bogiem jesteśmy, oczywiście nie na zasadzie panteizmu czy monizmu, ale przez udział w synostwie. Bóg rodzi mnie, zanim o tym wiem czy tego pragnę; daje mi również swego Ducha, który uzdalnia mnie do przyjęcia tego daru, o którym nie potrafię jasno powiedzieć, czy jest Nim, czy mną samym. Jest to po prostu problem bycia sobą, a jeszcze lepiej – stawania się sobą w danej chwili, razem z Synem, który przez całą wieczność, w jednym niezmiennym momencie otrzymuje swą istotę od Ojca.

Dlatego naszym zadaniem jest ustalenie związku, a nie osiągnięcie końca, uznanie przedmiotu czy osiągnięcie celu. Naszym celem, o ile już musimy używać tego słowa, jest raczej wyzwolenie się od jakiegokolwiek konkretnego celu, który by mógł wydawać się uprawnionym sam z siebie. Nie należy liczyć na nic ani nie dążyć do niczego, co nie jest rozwijaniem prawdziwej relacji z Bogiem, w której bezwarunkowo zależymy od Niego, i nie szukać żadnego innego oparcia poza Nim. Dary Boga nie są już dłużej ważne, nie interesuje nas już to, co możemy dostać dla siebie, naprawdę liczy się tylko jedno –

autentyczna relacja miłości z Bogiem. To prowadzi do sytuacji „bez powrotu”. Nie szukamy wzbogacenia siebie ani innych, tym bardziej wzbogacenia Boga. Jest to rodzaj wszechogarniającej relacji, w której tracimy wszystkie ograniczone cele, w jakich mamy nieustanną pokusę odnajdywania bezpieczeństwa.

Tak więc nie tylko nasz umysł i nasze działanie, ale cała nasza istota ryzykuje odcięcie się od tego, co daje jej przyjemności w życiu. Chociaż – czy w tych przyjemnościach naprawdę jest coś, co nadal wydaje się interesujące lub godne uwagi w porównaniu z przemożnym luksusem czystej zależności od Boga i bycia tylko i wyłącznie zrodzonym z Ojca?

Błędem jednak byłoby wierzyć, że możemy uzyskać ten stan zależności w najczystszej formie przez oddalenie się od stworzenia. Przeciwnie – jedynie przechodząc przez stworzenie możemy wejść do serca Boga. Ta czysta relacja, o której mówimy, jest w istocie ustaleniem zależności od zmartwychwstałego Chrystusa – człowieka Jezusa, Syna Bożego nie tylko przez narodzenie, ale z mocy Ducha Świętego, który Go wskrzesił z martwych, aby zajął miejsce jako Syn po prawicy Ojca, od którego zależymy. Misterium Paschalne jest najważniejszym momentem, w którym Jego człowieczeństwo, w oddaniu się nam bez reszty, znalazło się w stanie całkowitego ogołocenia, dzięki czemu osiągnął pełną gotowość na przyjęcie Ojca, aby otrzymać Imię ponad wszelkie imię.

Dlatego sercem każdej prawdziwej modlitwy jest obecność Jezusa w Duchu Świętym. To nie musi być w pełni uświadomione, ale rzeczywiste porozumienie między Jego sercem a naszym, między naszym człowieczeństwem, z ziemskim ciałem i krwią, a człowieczeństwem Syna Człowieczego, który przez Zmartwychwstanie przyjął całe stworzenie i panowanie nad wszechświatem. Modlitwa nie jest więc elegancką przechadzką na wyżynach ducha, lecz – jak to zostało powiedziane – powrotem do najgłębszego źródła naszego bytu – ciała, duszy i ducha. Tym źródłem jest Boskość, która przychodzi do nas w Duchu posłanym przez zmartwychwstałego Syna z łona Ojca. *Benedictus Deus.*

Rozdział 11

Modlitwa serca

Poprosiłeś mnie, abym powiedział ci o modlitwie serca. O to samo poproszono mnie kilka lat temu, lecz wtedy odmówiłem, bo nie chciałem

zabierać głosu na nie dość mi znany temat. Z upływem czasu nabrałem pewnego doświadczenia na podstawie obserwacji modlitwy innych i dzięki osobistym odkryciom poczynionym na drodze do naszego Pana. Dlatego przekażę ci niektóre z moich przemyśleń na ten temat, ale proszę, abyś ich nie przeceniał.

Wiesz, że modlitwa serca to owoc długich doświadczeń duchowości Kościoła wschodniego. To, co mam zamiar powiedzieć, ma z pewnością wiele wspólnego z tą tradycją, lecz mam świadomość, że to, co piszę, jest bardzo subiektywne. Być może to, co powiem, nie odnosi się do prawdziwej modlitwy serca.

Moim zamiarem nie jest nakreślenie sztywnego i ustalonego schematu. Chcę raczej naszkicować drogę dla ciebie, ścieżkę, którą należy pójść. Jednak ten, kto na nią wchodzi, nie wie, dokąd ona prowadzi. Modlitwa serca nie może być celem samym w sobie. To sposób życia, metoda na wyczulenie się na głos Boga w nas, na rozwój wewnętrzny.

Zanim rozpoczniesz czytać to, co mam do powiedzenia, proszę, abyś przede wszystkim pomodlił się do Ducha Pana naszego, aby nas obu oświecił, ponieważ moim jedynym pragnieniem jest pomóc Mu wnieść światło do naszych serc.

Abba, święć się Imię Twoje

Kiedy się modlę, nie wzywam Boga filozofów ani nawet Boga teologów. Zwracam się do swojego Ojca, a raczej naszego Ojca. Jeżeli mam być bardziej ścisły – zwracam się do Tego, którego Jezus w pełni zażyłości i zawierzenia nazywał „Abba”. Kiedy uczniowie poprosili naszego Pana, aby nauczył ich modlić się, On po prostu odpowiedział: „Kiedy się modlicie, mówcie: «Abba»...” Żeby tak nazwać Boga, trzeba mieć pewność, że On nas kocha. Pewność inną od tej, jaką mieli uczeni w Piśmie, bo wypływającą z przemożnego przekonania – przekonania wiary, do jakiego – tak się nam wydaje – doszliśmy po okresach refleksji, medytacji i rozważań w oparciu o nasze wewnętrzne inspiracje, choć ostatecznie jest ono darem. Mamy pełną wiarę w miłość, a mamy ją w sercu dzięki Ojcu, któ-ry posłał nam Ducha – teraz, kiedy Syn wstąpił do Jego chwały.

Dzięki temu, że Ojciec mnie kocha, jestem zdolny do tego, aby zwrócić się do Niego w zupełnym zaufaniu i zawierzeniu. Nie zwracam się do Niego, aby podkreślić swoje cnoty ani z wyrachowania, ale ufając Jego nieskończonej czułości, jaką ma Abba dla swego Syna, Jezusa, ponieważ jest to także mój Abba.

* * *

On jest Ojcem. Co to znaczy? Daje nam życie. Daje – nie jak coś niezależnego od Niego. Daje je ofiarowując siebie samego. Jedyny podarunek,

jaki może zrobić, to On sam – Jego Osoba, a owocem tego daru jest Syn. Syn, którego miłość do Niego jest nieskończona. Syn, dla którego Ojciec ma wyłącznie czułość, a z kolei On cały jest czułością dla Ojca.

Ten, do kogo się zwracam, to Ojciec – jedyny, który może dać mi życie, doskonale życie na Jego obraz. Pragnie tu i teraz, abym był na Jego podobieństwo, nie powierzchownie, jak przez nałożenie maski, ale dzięki uświęceniu, udziałowi w Jego Boskiej naturze. To mam na myśli, kiedy Go proszę: „Abba, święć się Imię Twoje, tak abyś był sobą i tylko sobą, Abba, we mnie. Aby Twoje Imię ‘Ojciec’ wypełniało się doskonale w związku, jaki rodzi się między nami. Abba, proszę, abyś był moim Ojcem, abyś mnie zrodził na swój obraz i podobieństwo jedynie z miłości, abym z kolei ja, poprzez szczerą wdzięczność dla Ciebie, mógł przemienić się w miłość do Ciebie”.

* * *

Modlitwa serca polega po prostu na znalezieniu drogi umożliwiającej mi osiągnięcie postawy vis-a-vis z Ojcem, która pozwoli uświęcić Jego Imię we mnie. We mnie i wszystkich Jego synach. W Jego jedynym Synu – zespalającym Tego Jedyne i wszystkich Jego braci.

Modlić się – to przyjąć Ojca i uczestniczyć w życiu, jakie nam dał dzięki swej łasce. Przyjąć Ojca – to pozwolić Mu, aby zrodził Syna i dał początek Jego królestwu w moim sercu.

Patrzeć sercem

Jaką zamierzamy pójść ścieżką, żeby zaprowadziła nas na spotkanie z Bogiem, do którego dążymy? Jakim środkiem dysponujemy, aby to osiągnąć? Czy jest to może inteligencja, łatwość uczenia się, czy rozum? Posłuchajmy odpowiedzi Jezusa: *Wystawiam Cię, Ojczy, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroprnymi, a objawiłeś je prostaczkom. Tak, Ojczy, gdyż takie było Twoje upodobanie* (Mt 11,25–26). Oto zaskoczenie – droga zamknięta jest dla uczonych, dla wyrachowanych i rozsądnych. Nie takim ludziom Bóg objawia swe tajemnice. Czy jednak, mimo wszystko, Bóg nie dał nam głowy, zdolności myślenia, opisywania rzeczy i odtwarzania ich, abyśmy porozumiewali się wzajemnie? Te zdolności na pewno pochodzą od Boga. Są wartościowe i istotne. Jeśli uznajemy ich ograniczoność, pamiętajmy, żeby ich nie zlekceważyć.

Jeśli rozwiązuję jakiś problem lub dokładniej – jeśli uważam kogoś za bardzo bliskiego, lecz płynie to z wyrachowania, a nie z serca, to takie podejście oddala mnie od tej osoby. Myślę o tym człowieku uwzględniając różne aspekty, aby w dogodnej chwili przeanalizować sytuację, ale nie angażuję się.

W istocie nie angażując się, zapewniam sobie bezpieczeństwo, zachowuję dystans w stosunku do tej osoby. Mimo że robię wszystko, aby zrozumieć

drugiego, nie dopuszczam do tego, aby porwała mnie siła wewnętrzna emanująca z jego serca. Być może są sytuacje, kiedy takie podejście jest dobre. Jeśli jednak pragnę kochać, to na pewno nie tędy droga.

* * *

Jezus mówi dalej: *Wszystko przekazał Mi Ojciec mój. Nikt też nie zna Syna, tylko Ojciec, ani Ojca nikt nie zna, tylko Syn i ten, komu Syn zechce objawić* (Mt 11,27). Dla ścisłości, oznacza to, że dystans między Ojcem i Synem został zlikwidowany. Żaden z nich nie musi dbać o swoje bezpieczeństwo w obecności drugiego. Przyjęli ryzyko całkowitego wzajemnego zawierzenia. Tak więc mogą znać siebie dzięki mądrości inspirowanej przez miłość, przedstawionej jako misterium uchwytnie tylko dla wtajemniczonych. Nikt nie zna Syna, tylko Ojciec, i nikt nie zna Ojca, tylko Syn. Nikt nie zna, bo nikt nie otworzył serca. Jeśli pragniemy znać Ojca, musimy być skłonni do przyjęcia nauki Syna, który objawia się w takim stopniu, w jakim nasze serce gotowe jest Go przyjąć.

Aby prawdziwie poznać Boga, muszę zrezygnować z bezpieczeństwa. Muszę skasować dystans, który rozum i wyobraźnia wytworzyły między Nim a mną. Muszę zrozumieć, jaki jestem bezbronny i obnażyć tę bezbronność, tak dobrze dotąd skrywaną. Muszę pogodzić się z tym, że to jest część mojej osobowości i pozwolić, aby ujawniły się prawdziwe uczucia mojego serca. Wtedy i tylko wtedy będzie możliwy mój kontakt z Ojcem i Synem, a równocześnie z wszystkimi braćmi i siostrami.

Konkretnie oznacza to, że muszę żyć na poziomie serca. Muszę sercu dać prawo istnienia, aby rozwijało się tak, jak chce i wypowiadało się na swój własny sposób, a więc z głębi uczuć – zawierzenia, radości i entuzjazmu, lecz również strachu, a czasem udręki i gniewu. Nie oznacza to życia na poziomie powierzchownej emocjonalności. Przeciwnie – oznacza to uznanie głębokich nurtów utajonych w nas i prowadzących do autentycznego spotkania z braćmi i siostrami.

To właśnie znaczy być „małym dzieckiem” – kimś, kto reaguje spontanicznie i odkrywa samego siebie dzięki miłości wobec osoby, z którą się spotyka. Jak trudno zdobyć się nam na odwagę, aby być jak dzieci!

* * *

Te refleksje pozostają w duchu Ewangelii i psychologii rozwojowej. Dwie te dziedziny są rozłączne, ale komplementarne i wzajemnie się tłumaczą. Musimy uczyć się, aby widzieć wszystko kochającym spojrzeniem Jezusa, nie tylko stworzenie, ale i Osoby Boskie. To oznacza „patrzyć sercem” – przyjmując, że Syn objawia mi Ojca na poziomie, na jakim jestem zdolny przyjąć to objawienie – na poziomie, na którym dzięki szlachetności mojej ludzkiej

natury można odnaleźć we mnie obraz intymnej jedności, jaka istnieje między Ojcem i Synem – na poziomie mojego serca.

Oczyszczenie serca: oczyszczenie osobowości przez serce

Nie potrzeba dużego doświadczenia życiowego, a jeszcze mniej w życiu duchowym, żeby stwierdzić, że jesteśmy więźniami tego świata, prawie nieograniczonego w swym chaosie – grzechu, nieodróżnienia emocjonalnego, otwartych ran, niezdrowych zwyczajów itd. Wszystko to sprawia, że nasze serce jest zbrukane.

Ponadto widzimy, że język naszego serca jest językiem emocji. Całe zamieszanie, o którym mówię, prowadzi do niekontrolowanych emocji, dajemy im upust nawet podświadomie, rządzą naszym postępowaniem i powodują, że powstają w nas napięcia, że odwracamy się od Boga, skierowują nas machinalnie ku złemu życiu. Wszystko to bierze się z serca!

To, co z ust wychodzi, pochodzi z serca, i to właśnie czyni człowieka nieczystym. Z serca bowiem pochodzą złe myśli, zabójstwa (...) To właśnie czyni człowieka nieczystym (Mt 15,18–20). Jeśli pragnę usunąć skażenie mojego serca, przede wszystkim muszę je oczyścić.

* * *

Kiedy stajemy wobec palącej potrzeby uleczenia tej sytuacji, jako pomoc zazwyczaj służy nam praktyka tradycyjnie nazywana ascezą. Jest to metoda wypróbowana przez wiele pokoleń mnichów, chrześcijan, ludzi dobrej woli zdecydowanych na wyzwolenie się z ograniczeń, które sprawiają, że są więźniami. To metoda angażująca wszystkie zapasy naszej siły woli, energii i wytrwałości wspartych przez wiarę i miłość. Asceza ma swą wartość i nie powinniśmy nigdy rezygnować ze stosowania jej. Ma jednak również ograniczenia.

W szczególności, o ile chodzi o prawdziwe oczyszczenie serca, musimy wznieść się ponad czysto ludzkie praktyki. Jeszcze raz przeczytajmy, co św. Brunon powiedział swemu przyjacielowi Radulfowi na ten temat:

Cóż zatem czynić zamierzasz, umiłowany? Cóż, jeśli nie zawierzyć radom Bożym, zawierzyć prawdzie, która mylić nie może? Radził przecie wszystkim, mówiąc: Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię (Mt 11,28). Czyż nie jest trudem najgorszym i bezużytecznym męczyć się bez przerwy pożądaniami, troskami i niepokojami, strachem i bólem dla rzeczy upragnionych? Jakież więc brzemie cięższe jest od tego, które spycha myśl ze szczytu jej godności na dno, które jest całą niesprawiedliwością?

Istnieje więc rodzaj oczyszczenia, w którym przede wszystkim człowiek musi zwrócić się do Jezusa i przyjść do Niego, aby „znaleźć pokrzepienie”.

Po poproszeniu nas, abyśmy wyrzekli się bycia „mądrymi i rozumiejącymi”, Jezus zaprasza, abyśmy stali się jak dzieci. Wejść na drogę serca – to zrozumieć, że jedyna prawdziwa czystość jest darem Jezusa. *Weźcie na siebie moje jarzmo i ucztę się ode Mnie, bo jestem cichy i pokornego serca, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych* (Mt 11,29).

Podstawowe oczyszczenie zaczyna się w chwili, kiedy wszystkie troski i nieporozumienia, jakich doświadczam, zanoszę Jezusowi. Nie jest to zadanie łatwiejsze od tradycyjnej ascezy, ale jest bardziej skuteczne. Zobowiązuje nas ono do życia opartego na prawdzie – prawdzie o sobie, ponieważ zmusza nas ona do otwarcia oczu na rzeczywistość naszej grzeszności, na prawdzie o Jezusie, który rzeczywiście jest Zbawicielem naszych dusz, nie tylko w ogólnym, odległym sensie, ale na podstawie bezpośredniego kontaktu z każdym, we wszystkich niedostatkach, jakich doświadczamy. Dlatego musimy nauczyć się oddać Mu bez reszty i zahamowań wszystkie nieczystości serca, które wychodzą na jaw, czy to dzięki okolicznościom życiowym, czy też przez poruszenia mojego serca, kiedy poszukuje prawdziwej wolności.

* * *

Ilekcję odkrywam jedno z paraliżujących mnie ograniczeń, najważniejsze jest wtedy nie podejmować bezpośredniej walki z nim, bo przeważnie zadowoli mnie odcięcie gałęzi i nie sięgnę do korzeni. To, co się liczy, to odkrycie korzeni i wyrwanie ich, niezależnie od ich brzydoty i przykrości, jaka temu towarzyszy. Problemem jest przyjęcie ich takich, jakie są, i oddanie ich świadomie i dobrowolnie Zbawicielowi. W ten sposób nie ma obawy, żeby klasyczna modlitwa: „Jezusie, Synu Boga żywego, zmiłuj się nade mną grzesznym!” była bezmyślnie powtarzana. Jest to nieustanne potwierdzenie, że odbywa się kolejne spotkanie między oczyszczającym sercem Jezusa i moim własnym, skażonym sercem.

Oczywiście, w tym procesie występuje również element czysto naturalnej, ludzkiej psychologii, ale dlaczego miałoby to dziwić? Czy łaska nie działa zawsze w oparciu o naturę? W tym przypadku przygotowuje grunt pod odkupienie, które powoduje przemianę serca, lecz rany przez osobiste spotkanie ze zmartwychwstałym Jezusem. W ten sposób rodzi się w nas nawyk nieustannego zwracania się do Niego, zwłaszcza ze wszystkimi trudnościami, z tym, co ciemne, co nas niepokoi.

Jest to postawa, która początkowo budzi obawę w sercu. Tak często słyszymy, że mamy ofiarować Panu tylko to, co dobre i piękne, że nie możemy przynieść do Niego niczego, co nie jest szlachetne. Czy nie jest to sprzeczne z tym, co mówi Ewangelia? Sam Jezus stwierdził, że nie przyszedł do tych, co się dobrze mają, ale do chorych. Musimy się nauczyć, bez fałszywego wstydu,

stawać wobec Boskiego lekarza w całej naszej nędzy, uczciwie przyznając się do wszystkiego, co w nas złe, nieprawdziwe i sprzeciwiające się Bogu. Tylko On może nas wyleczyć.

Moje ciało - miejsce spotkania ze Słowem i świątynia Ducha Świętego

Często spotykamy się z pokusą, aby „modlitwę serca” interpretować w sposób symboliczny. Kiedy mówimy o sercu, próbujemy traktować je jako obrazowe określenie wnętrza - rzeczywistości duchowej. Jest to fałszywe. Wszystkie poruszenia serca, które są ostoją naszej zażyłości z Ojcem, są poruszeniami związanymi z naszą cielesnością. Z doświadczenia wiemy - czasami kosztem własnego zdrowia - że prawdziwie głębokie przeżycia sprawiają fizyczny ból serca. Modlitwa serca jest niemożliwa, jeśli nie zdecydujemy się świadomie i stanowczo na uwzględnienie naszego ciała. Bóg stworzył nas w ten sposób. Księga Rodzaju opowiada, jak Jahwe stworzył człowieka z prochu ziemi i jednocześnie zaznacza z całą pewnością, że ukształtował go na swój obraz i podobieństwo. Nasze ciało nie jest przeszkodą w naszym obcowaniu z Bogiem. Przeciwnie - to dzieło samego Boga, który stworzył nas jako synów i powołał do uznania Go za dziedzictwo.

Cała ekonomia Wcielenia Syna Bożego umieszcza nas w tej samej perspektywie. Pierwotny Kościół walczył zawzięcie o uznanie prawdziwego człowieczeństwa Jezusa. Narodził On się i żył w ciele, i w ciele nauczał nas, cierpiał, umarł i zmartwychwstał.

To ludzkie działanie Słowa Bożego dało i wciąż daje nam życie. Bóg przemawia do nas ludzkim językiem. Nasze grzechy nie są obmyte symbolicznie, ale przez krew Jezusa. Jezus - człowiek z krwi i ciała - rzeczywiście umarł i zmartwychwstał. Jego materialne Zmartwychwstanie zbawia zarówno nasze dusze, jak i ciała. Duch Święty został nam dany jako owoc fizycznego zmartwychwstania Syna. To On - Syn Maryi - posyła do nas z łona Ojca Ducha Świętego. Sprawia to Słowo Wcielone, a nie Słowo niestworzone, po tym jak dzielił nasze życie, kiedy stał się jednym z nas.

* * *

Doświadczamy wcielenia każdego dnia poprzez sakramenty, liturgię, życie wspólnotowe i udział w ciele Kościoła. Wszystko stanowi namacalną podstawę obecności w naszym życiu ciała Chrystusa. Przyjmijmy wobec tego Jezusa takiego, jakim jest, tzn. jako przychodzącego do nas w naszej cielesności. Nie spieszmy się z wyeliminowaniem tego aspektu, co do którego możemy mieć pokusę, żeby uważać go za brukający nasze relacje z Bogiem. Takie podejście byłoby fałszywe. Ciało nie jest nieczyste, lecz jest świątynią, w której spotykamy naszego Abba.

Nawet gdybyśmy chcieli - choć to niemożliwe - traktować nasze życie wspólnotowe jako zgromadzenie braci wyzwolonych z ciała - czystych

duchów, a jedyny kontakt byłby w sferze ponad-cielesnej, to oznaczałoby to zaprzeczenie realnej Bożej miłości, zlekceważenie konkretnej rzeczywistości Syna, który do nas przychodzi. Celebrowana co dzień Eucharystia jest w istocie uczczeniem Paschy, której efektem były zasadnicze przemiany Jego Ciała i Krwi, nie przez opuszczenie czy wzniesienie się ponad nie, ale przez nadanie im ich prawdziwego znaczenia – są materialną rzeczywistością – Synem Bożym. Podobnie nasze ciało ze wszystkimi słabościami i ograniczeniami oznacza naszą rzeczywistą postać. To moje ciało spotyka się z tą inną rzeczywistością, o której Jezus mówi: „To jest Ciało Moje”. Sprzężenie tych rzeczywistości cielesnych stanowi żywy związek między Bogiem i mną. *Jeżeli nie będziecie jedli Ciała Syna Człowieczego ani pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie (...) Jak Mnie posłał żyjący Ojciec, a Ja żyję przez Ojca, tak i ten, kto Mnie spożywa, będzie żył przeze Mnie (J 6,53.57).*

* * *

Z tego, co dotąd powiedziano wynika, że nie modlimy się, jeśli modlitwa nie pochodzi z wnętrza ciała. Nie mogę odciąć się od swej cielesności, kiedy zwracam się do Boga. To nie tylko kwestia przepisów religijnych czy też uwarunkowań materialnych, które zalecają pewne gesty, kiedy zwracam się do Boga. Jest to konsekwencją jedynej rzeczywistości – Bóg prawdy kocha mnie takiego, jakim jestem, takiego, jakim mnie uczynił. Dlaczego miałbym starać się być bardziej od Niego uduchowiony?

Tak więc uczę się żyć na poziomie cielesnym, ze wszystkimi ograniczeniami, jakie to na mnie nakłada. Jedzenie, sen, odpoczynek, choroba, utrata sił – żadna z tych rzeczy nie stanowi przeszkody między Bogiem i mną. Przeciwnie – są jak długość bezbłędnie utkanego habitu, który okrywa moją konkretną, codzienną egzystencję w zażyłości z Bożą rzeczywistością.

Kto z nas nie doświadczył, czasami tak bardzo bolesnego ograniczenia – prawie uwięzienia – przez problemy zdrowotne? Jedyne, co możemy powiedzieć w szczerości serca jest to, że Bóg przychodzi do nas w takich ciężkich próbach. Są one momentem, w którym Boża miłość wkracza w nasze życie. Nasze serce jest w stanie przyjąć Boga na tyle, na ile jest wyczulone na tę rzeczywistość, którą możemy traktować jako coś gorszego od powołania ducha. Musimy zwalczyć to kłamstwo, które księżę kłamstwa pragnie zaszcześcić w naszych sercach. Nie udawajmy, że jesteśmy czystymi duchami, możemy być kimś więcej – dziećmi Bożymi.

Sam Duch modli się w nas

Mówimy o modlitwie, ale nie wiemy, jak się modlić. Czy chociaż wiem, co stanowi prawdziwą modlitwę? Najuczciwiej muszę przyznać, że nie wiem. Wewnętrznie czuję jej głęboką potrzebę, ale pozostaję w ciemności.

Na szczęście podobnie także Duch przychodzi z pomocą naszej słabości. Gdy bowiem nie umiemy się modlić tak, jak trzeba, sam Duch przyczynia się za nami w błaganiach, których nie można wyrazić słowami. Ten zaś, który przenika serca, zna zamiar Ducha, [wie], że przyczynia się za świętymi zgodnie z wolą Bożą (Rz 8,26-27).

Modlitwa jest w moim sercu. Wypływa z serca. Jednak nie jest czymś, co byłoby moim tworem. To dar Ducha Świętego, który przenika moje serce i modli się we mnie. Duch Święty zstępuje z serca Boga z pragnieniem, aby zapalić w moim sercu ten sam płomień, który płonie w Nim.

Znamy wszystkie fragmenty listów, w których św. Paweł podkreśla ten fakt, lecz czy nie mamy tendencji, aby myśleć o tym w sposób czysto teoretyczny lub – szlachetniej ujmując – jak tylko o rzeczywistości wiary? Jak o rzeczach, o których mówimy z przekonaniem, ale które w praktyce pozostają przed nami zakryte? Ta obecność Ducha w moim sercu istniałaby wtedy naprawdę tylko w Bogu i byłaby dostępna jedynie przez intelektualne formuły. Sama rzeczywistość uszłaby zupełnie mojemu odczuciu. Czy to ma na myśli św. Paweł?

Jeśli bylibyśmy przeciwni wszystkiemu, co jest przesadne w takim podejściu, to czy z drugiej strony koniecznie należy podkreślać, że prawdziwie chrześcijańskie życie to doświadczenie działania Ducha Świętego, podobnego do tego, jakie było udziałem Apostołów, kiedy otrzymali języki ognia w ranek Pięćdziesiątnicy? Kościół nigdy tak nie nauczał. Jednak między tymi dwoma skrajnościami istnieje stan prawdziwy, dostępny dla wszystkich chrześcijan, przy którym obecność Ducha Świętego w naszym życiu jest rzeczywistością mającą bezpośredni wpływ na sposób, w jaki żyjemy, na nasze współzycie z braćmi i siostrami pełne miłości, na naszą modlitwę.

* * *

Jeśli przyjrzymy się różnym, omówionym dotąd etapom, zobaczymy progresję. Odrzucenie pomysłu, że centrum aktywności podczas modlitwy znajduje się w głowie. Odrzucenie teorii spekulatywnych, otwarcie drzwi naszych serc i odkrycie w ich wnętrzu nieuporządkowanych emocji i otwartych ran, które emanują z serca i potrzebują oczyszczenia. Potem dowiedzieliśmy się, że istnieje możliwość skutecznego uzdrowienia wszystkich tych otwartych ran naszego serca w procesie odkupieńczym, dzięki ujawnieniu ich i poddaniu z całą szczerością uzdrawiającemu działaniu Jezusa.

I tak niepostrzeżenie doszliśmy do omówienia działania Ducha Świętego w nas. Jeśli jesteśmy w stanie zrealizować w życiu plan jaki tu nakreśliłem, to oznacza, że Duch Pański działa w nas, pozwalając nam wydobyć się ze skomplikowanej sieci naszych emocji. Jest to coś, co dzięki cierpliwości i wytrwałości możemy poddać oczyszczającej i wskrzeszającej łasce Zbawiciela. Wszystko, o czym mówiliśmy, jest już pracą Ducha.

Kontynuujmy ten tok myśli. Oprócz nieuporządkowanych poruszeń serca, które zauważyliśmy, zwłaszcza po tym, jak Jezus zaczął zaprowadzać w nas swój porządek, dostrzegamy również poruszenia, które są spokojniejsze, a kończą się wyciszoną harmonią. W ten sposób, poza naszą świadomością, centrum naszego serca uczy się spontanicznie osiągać naszego Pana. Dopiero po fakcie, kiedy już spoglądamy wstecz na to, co zaszło, stwierdzamy, że Duch naszego Pana dyskretnie i cicho pracował w głębi naszego serca. Stopniowo, w miarę jak pokój opanowuje tę głębię, jakiś *tajemniczy dynamizm* zostaje uruchomiony i musimy nauczyć się współdziałać z nim.

I tak uczymy się scalać wszystkie poruszenia naszego serca: dobre i niezbyt dobre, aby umieć je skierować ku Bogu. Niektóre z nich pochodzą wprost od Boga i wracają do Niego, podczas gdy inne muszą być nawrócone i przemienione przez śmierć i zmartwychwstanie Jezusa. Wszystkie należy świadomie scalić w dynamizm Ducha wlały w naszych sercach. Jest to problem czujności wobec poruszeń serca, tak abyśmy mogli swobodnie i świadomie połączyć je z działaniami Ducha Świętego w nas.

Wszystko to nie wymaga żadnej łaski mistycznej. Oznacza to, że mamy być świadomi, z prostotą i delikatnością, że nasze serce żyje, a to życie możemy oddać Duchowi Świętemu, aby nim kierował przez swój własny ruch ku Ojcu.

* * *

Święty Paweł stwierdza, że Duch Święty wstawia się za nami „w błaganiach, których nie można wyrazić słowami”. To zdanie godne jest podkreślenia. Zwykle działanie Ducha Świętego nie polega na oświecaniu nas pomysłami czy szczególnym światłem, i tak naprawdę nie daje nam On niczego nadzwyczajnego. Działanie Ducha Świętego ma być pociągnięciem nas do Ojca. *Albowiem wszyscy ci, których prowadzi Duch Boży, są synami Bożymi. Nie otrzymaliście przecież ducha niewoli, by się znowu pogrążyć w bojaźni, ale otrzymaliście ducha przybrania za synów, w którym możemy wołać: «Abba, Ojcze!» Sam Duch wspiera swym świadectwem naszego ducha, że jesteśmy dziećmi Bożymi (Rz 8,14-16).* Duch Święty jest świadkiem, dynamiczną siłą popychającą nas. Z pewnością nie jesteśmy w stanie jej uchwycić, zgłębić jej natury czy opanować jej. Próba osiągnięcia tego oznaczałaby wydobycie jej z naszego serca i oddzielenie. Pozwólmy Duchowi Świętemu modlić się swobodnie w naszej duszy na Jego sposób – ukryty i tajemniczy. Jego działanie poznamy po owocach. W stopniu, w jakim stajemy się świadomi, że uczymy się modlić, nie wiedząc dokładnie jak prosić Boga i wyrażać wdzięczność – w takim stopniu rozumiemy, że Duch Święty modli się w nas mimo całej naszej słabości.

Moja słabość: tutaj odkrywam i spotykam czułość Ojca

Powróćmy do kilku zasadniczych punktów, które omawialiśmy. Przejrzemy je i połączymy, bo stanowią one podstawę modlitwy serca.

Lęk przed słabością jest naturalną reakcją każdego człowieka. Od dnia, kiedy pierwszy raz uświadomiamy sobie, tak czy inaczej, że nie możemy polegać na swoich siłach, zakorzenia się w nas zatroskanie, które może przerodzić się w wielki niepokój. Wszystko, co powiedzieliśmy dotąd, prowadzi do utraty poczucia bezpieczeństwa przez wydobywanie na światło dzienne naszej bezbronności, ukrytego nieuporządkowania i ograniczoności wynikających z faktu, że jesteśmy stworzeni. Za każdym więc razem musimy sobie powiedzieć, że jest tylko jedno rozwiązanie – uznać prawdę o sobie i oddać się w ręce Pana.

Przypomnijmy sobie epizod uciszenia burzy na jeziorze. Apostołowie byli przerażeni tym, jak fale miotają ich łodzią, i obudzili Jezusa. Zdumiony – zwrócił się do nich z pytaniem: *«Czemu bojaźliwi jesteście, ludzie małej wiary?»* (Mt 8,26). Potem jednym gestem uspokoił fale.

Wobec tego, dlaczego mam się obawiać swoich słabości? Rzeczywiście istnieją, lecz przez długi czas nie chciałem ich zobaczyć. Stopniowo uznałem ich obecność, a obecnie muszę uznać je za część mojej osoby. Nie są mi obce, nie mogę się ich pozbyć raz na zawsze. Co więcej – jeśli usiłuję o nich zapomnieć, Ojciec szybko zwraca mi na nie uwagę. Dopuszcza ten czy inny błąd, dzięki czemu muszę przyznać, że jestem grzesznikiem. Pozwala, aby brak zdrowia dokuczył mi i zmusił do poddania się i ofiarowania swej bezradności miłości Ojca. On sprawia, że bez najmniejszej wątpliwości widzę, jak moje możliwości są ograniczone.

Pojawia się nowe podejście: w przyszłości słabości zamiast być niebezpieczne, dają mi okazję zbliżenia się do Boga. Z tego powodu muszę stopniowo oswoić się z nimi, już nie uważać ich dłużej za kłopotliwą cechę mojej osobowości, lecz jako coś, czego chce i co uznaje Ojciec. Nie traktować ich jako beznadziejny dopust, lecz jako podstawowe przygotowanie do daru życia Bożego. Kiedy w przyszłości stanę nagle wobec dotąd nieznannej słabości, moją pierwszą reakcją nie będzie lęk; zamiast tego zadam sobie pytanie, gdzie jest w niej ukryty Ojciec.

* * *

Nie unikniemy postawienia sobie pytania: czy ta transformacja słabości, która wydaje się być jedynie poddaniem się zwycięstwu miłości, jest efektem nie zamierzonym przez Boga, alchemią przez którą zmienia zło w dobro, czy też przeciwnie – jest to fundamentalny wymiar Bożego porządku?

Można by dużo mówić na ten temat. Niech nas zadowoli proste stwierdzenie, że nawet w porządku naturalnym każda prawdziwa miłość jest zwycięstwem słabości. Miłość nie polega na dominowaniu, posiadaniu kogoś lub wywieraniu na nim nacisku. Miłość to bezbronne przyjęcie drugiego człowieka, który wychodzi mi na spotkanie. W odpowiedzi pewni jesteśmy przyjęcia bez zastrzeżeń, bez osądzania czy potępiania i bez zawistnych

porównań. Między dwojgiem ludzi, którzy kochają się wzajemnie, nie ma mowy o sile. Istnieje między nimi rodzaj porozumienia, z którego rodzi się wzajemne zaufanie.

Już doświadczenie miłości, chociaż z konieczności niedoskonałe, jest nieodparte, a przecież to tylko odbicie rzeczywistości Bożej. Z chwilą kiedy prawdziwie zaczniemy wierzyć w nieskończoną czułość Ojca, zobowiąże nas to i do bardziej radosnego zagłębienia się w rzeczywistość, w której niczego nie posiadamy ani nie rozumiemy, ani nie kontrolujemy.

* * *

W ten sposób, prawie nieświadomie, wchodzimy w komunie z życiem Bożym. Relacja między Ojcem i Synem w Duchu Świętym jest na poziomie, który wykracza zupełnie poza nasze zrozumienie, doskonałe ucieleśnienie słabości przemienione w komunie.

Ta intymna czułość Boga Trzykroć-świętego objawia się w sposób nam bliższy, w obcowaniu między wcielonym Synem a Ojcem. Nie możemy oprzeć się podziwowi wobec łagodności i poczucia absolutnego bezpieczeństwa, z jakim Jezus oświadcza spokojnie, że nie ma niczego na własność i że nie może robić niczego, co nie byłoby naśladowaniem Ojca. Jak człowiek może zgodzić się na takie poddanie? Jednak taką drogą mamy iść, jeśli w głębi serca pragniemy żyć zgodnie z wolą Bożą i z tym, jak przemienił On nasze życie przez śmierć i zmartwychwstanie Syna.

Maryja pokazuje nam tę samą drogę. Magnificat jest równocześnie pieśnią tryumfalną i uznaniem całkowitego poddania się. Oba te uczucia idą ręka w rękę. Od początku dostrzegła i przyjęła swą wymowną słabość, dzięki czemu była gotowa przyjąć Syna, którego dał Jej Ojciec. Stała się Matką Boga, bo jest najbliższa Jego ubóstwu.

Wejście w ciszę

Jeśli podążamy tą drogą, okazuje się czymś naturalnym, że nasz intelekt stopniowo wycisza się podczas modlitwy. Podobnie też zostaną do pewnego stopnia opanowane emocje serca, a wszystkie rozproszenia i przeszkody tracą sens. Oznacza to, że modlitwa serca niemal spontanicznie doprowadza nas do ciszy. Czasami to doświadczenie jest wyjątkowo silne i ten, kogo ono spotyka, w sposób nieunikniony narażony jest, że tak powiem, na pokusę ciszy jako takiej. Cisza jest błogosławieństwem dążącym do uwiedzenia wszystkich serc, które jej zasmakowały. Mamy jednak wiele rodzajów ciszy – nie wszystkie są dobre. W istocie większość z nich to raczej rozproszenia, a nie autentyczna modlitwa serca.

Pierwsza pokusa polega na uczynieniu z wyciszenia działania, nawet jeśli jesteśmy w pełni przekonani, że robimy coś przeciwnego. Opierając się na tym, że wyłączyliśmy intelekt, a serce uspokoiło się, wyobrażamy sobie, że

osiągnęliśmy prawdziwe wyciszenie całej naszej osoby. W istocie taka cisza, nawet jeżeli jest prawdziwie wartościowa, wynika z presji naszej woli, która jest najsubtelniejszym, ale równocześnie najbardziej zgubnym działaniem. Zamiast tego, by nasze serce czuwało i było wrażliwe, wprowadzamy się w sztuczny stan, w którym nie jesteśmy zdolni odczuć działania Boga, tylko polegamy na sobie samych. W przypadku ludzi mających silną wolę może to być główną przeszkodą do osiągnięcia stanu gotowości i otwartości na przyjęcie Pana. Ujmując problem materialnie – ta cisza jest poruszająca, ale skupia się na sobie, zależy od siebie.

Inna pokusa polega na tym, że cisza jest celem. Modlący się wyobraża sobie, że celem modlitwy serca, a nawet całego życia kontemplacyjnego jest milczenie. Skupia się na rzeczywistości materialnej, zamiast na osobie Ojca, Syna czy Ducha Świętego. To, co się liczy, to mój stan wewnętrzny, a nie uwaga pełna miłości skierowana na Boga. Przestaję się modlić, a jedynie kontempluję siebie!

Podobna pokusa – to chęć uczynienia z milczenia rzeczywistości samej w sobie. Milczenie jest wszystkim! Skoro tylko „szum” zmysłów, umysłu i wyobraźni ucichnie, wyzwala się naturalne uczucie radości i to nam wystarcza. Nie szukamy niczego więcej. Odmawiamy oglądania się za czymś innym. Każda myśl, jaka nawiedza nasz umysł, nawet związana z Bogiem lub pochodząca od Boga, wydaje się nam przeszkodą. W takim momencie jedyną Bożą rzeczywistością jest cisza. To już nie jest modlitwa. Nie pozostało nic poza zniewoleniem przez idola, któremu na imię Cisza.

* * *

Nie da się zaprzeczyć, że prawdziwa cisza jest bardzo ważna i należy ją cenić. Niemniej jeśli pragnę osiągnąć właściwą ciszę, ważne jest, aby wyrzucić ciszę z dna serca. Nie muszę pomniejszać jej znaczenia ani przestać jej szukać, ale nie mogę dopuścić do uczynienia z niej celu samego w sobie.

Ponad wszystko muszę unikać przekonania, że milczenie zawdzięczam osobistym wysiłkom. Nie muszę mozolić się nad ciszą, tak jakbym wytwarzał coś materialnego. Zbyt często uważa się, że cisza oznacza osiągnięcie pokoju umysłu, wyobraźni i zmysłów. To jest jeden aspekt ciszy, ale jest ona znacznie większym. Konieczne jest, aby cisza zapanowała w największych głębinach serca, aż do miary odpowiadającej woli. Wszystkie pragnienia, które nie są chęcią pełnienia woli Ojca, muszą zamilknąć. Wola zamiast wywierać nacisk na naszą osobowość, ma być w pełni gotowa słuchać i akceptować. Tylko wtedy istnieje szansa na osiągnięcie prawdziwej ciszy całej istoty ludzkiej wobec Boga, ciszy zrodzonej z pełnego zjednoczenia mojego najgłębszego jestestwa z Ojcem, bo jest ono stworzone na Jego obraz i podobieństwo.

* * *

Bóg sam wystarczy, wszystko inne jest niczym. Autentyczna cisza – to wyraz podstawowej rzeczywistości modlitwy. Cisza prawdziwie panuje w sercu natychmiast po tym, gdy znikną wszystkie skażenia, które przeszkadzały panowaniu Ojca.

Prawdziwą ciszę znajdziemy tylko w czystym sercu przypominającym serce Boga.

Serce naprawdę czyste jest w stanie osiągnąć zupełną ciszę dzięki temu, że nawet kiedy podlega różnym rodzajom działań, między nim a Bogiem nie ma żadnego rozdźwięku. Nawet gdy umysł i uczucie działają w jedność z wolą Bożą, w takim sercu nadal panuje prawdziwa cisza. „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą”.

Rozdział 12

Trawiący ogień

Słowo Boga nie zniesie fałszu. Słowo to oznacza wtargnięcie Bożego światła w nasz mały świat. Bliskość Boga nie zawsze jest wygodna. To oczyszczający ogień, to młot kruszący twardość naszej zbroi, wojownik nacierający na nas, miecz przeszywający nasze serca.

Czy moje słowo nie jest jak ogień – wyrocznia Pana – czy nie jest jak młot kruszący skałę? (Jr 23,29) Wszecmocne Twe Słowo z nieba, z królewskiej stolicy, jak miecz ostry niosący Twój nieodwołalny rozkaz, jak srogi wojownik runęło pośrodku zatraconej Ziemi (Mdr 18,15).

Żywe bowiem jest słowo Boże, skuteczne i ostrzejsze niż wszelki miecz obosieczny, przenikające aż do rozdzielenia duszy i ducha, stawów i szpiku, zdolne osądzić pragnienia i myśli serca. Nie ma stworzenia, któ-re by dla Niego było niewidzialne; przeciwnie, wszystko odkryte jest i odsłonięte przed oczami Tego, któremu musimy zdać rachunek (Hbr 4,12-13).

Oto najpewniejszy sposób, aby stać się krytycznym (*kritikos*) wobec duchów i myśli. Jeśli szczerze otworzymy się na Słowo, to rozdzieli Ono w nas dobro od zła, nawet w najskrytszej głębi duszy. W chwilach zwątpienia powinniśmy szukać światła w Słowie Bożym – czy to w Biblii, czy z ust człowieka natchnionego przez Ducha, żyjącego według Słowa i dającego nam coś z siebie, kiedy Je przekazuje. Słowo Boże jest nieustępliwe. Czasami z

powodu ciężaru chcielibyśmy o Nim zapomnieć, uciec od Niego. Jeśli jednak weszło już do naszego serca, staje się to niemożliwe. Możemy z Nim walczyć, lecz bezskutecznie. Jak powiedział Jeremiasz:

I powiedziałem sobie: Nie będę Go już wspominał
ani mówił w Jego imię!
Ale wtedy zaczął trawić moje serce jakby ogień,
żarzący się w moim ciele.
Czyniłem wysiłki, by go stłumić,
lecz nie potrafiłem (Jr 20,9).

Niezniszczalne nasienie

Bóg zasiał Słowo w naszym sercu jako nasienie życia. *Jesteście bowiem ponownie do życia powołani nie z ginącego nasienia, ale z niezniszczalnego, dzięki słowu Boga, które jest żywe i trwa* (1 P 1,23). Ważne jest, aby zobaczyć to wyraźnie. W życiu duchowym na pierwszym miejscu nie liczy się wzrastanie w cnotach i kształcenie ludzkiej inteligencji ani rozwijanie możliwości tkwiących w „naturalnym” życiu. W głębi jest inne życie, nieskończenie bogatsze, i to ono ma być karmione i wyzwalane. Moje naturalne życie to tylko surowiec, grunt, na którym wysiewa się ziarno. Dociera ono nie tylko do sfery inteligencji, lecz do głębi serca. Cała osoba, ciało i dusza będą przemienione.

W sakramentach wiary jestem odrodzony przez wodę i Ducha do życia w Chrystusie. Boże życie zostaje złożone w moim sercu, jak skarb zakopany w roli, ziarno życia, poznania i miłości. Moje wysiłki ascetyczne zmierzają do przeorania i oczyszczenia pola tak, aby ziarno mogło wzrastać bez przeszkód. Odrzucam inne rośliny i nasiona, żeby cała energia gleby mogła się skoncentrować na karmieniu tego jedyne go ważnego nasionka, które ją wchłonie i przetworzy w sobie. Użyźnienie gleby, przygotowanie serca na przyjęcie Słowa ma wiele wymiarów moralnych i intelektualnych.

Wysiłek poznania języków biblijnych i wiedzy, dyscyplina, jaką do naszego umysłu wprowadza filozofia, systematyczne studia teologiczne – wszystko to stanowi ascetyzm umysłowy, który jest pożyteczny i przynosi korzyści na miarę możliwości każdego z nas i łaski. Niebezpieczne byłoby pozostanie na poziomie nabytej wiedzy i podejście do Słowa Bożego z pewnym samozadowoleniem, jak do neutralnego przedmiotu badań takiego, jak każdy inny. W ten sposób zatraciłby się głęboki sens religijny, jakim powinniśmy się kierować, kiedy zbliżamy się do Pana.

Przygotowanie serca

Mnich jest zawsze żebrakiem proszącym pokornie o słowo życia. Najważniejszym przygotowaniem serca jest wyrobienie sobie „oka, którego czyste spojrzenie rani miłością Oblubienicę, oka przejrzystego i czystego, które

widzi Boga” (6.16). Tym, którzy mają czyste serce, obiecano jest, że Boga oglądać będą, a my pragniemy nie tylko mówić o Bogu, mniej lub bardziej mądrze, ale zobaczyć Go, skosztować Go, przyłgnąć do Niego. Może to wydać się zbyt śmiało, ale Statuty tak określają nasze powołanie.

Niech Marta spełnia czynną posługę, rzeczywiście bardzo cenną, choć pozbawioną samotności i nie wolną od niepokoju, niech jednak zaakceptuje przy tym swą siostrę podążającą za Chrystusem w ciszy, która oczyszcza ducha, rozpoznającą w Nim Boga, siostrę która modli się w głębi duszy, pragnie usłyszeć, co Bóg mówi w jej wnętrzu, a dzięki temu smakuje i widzi – w najdelikatniejszy sposób, mimo że tylko w niewyraźnym, ciemnym lustrze – jak dobry jest Pan, a jednocześnie zanosi modły za Martę (3.9).

Nie jesteśmy powołani na teologów, lecz żeby zostać kontemplatykami i mistykami. Nie powinniśmy lękać się tego słowa. Kontemplować, widzieć, smakować Boga – na tym polega życie mistyczne. Charakteryzuje je modlitwa wewnętrzna taka, która mieszka w sercu, gdzie Bóg przemawia nie przez świat zewnętrzny, ale z wnętrza.

Oczywiście, nie ma problemu ze słowem „teolog”, jeśli przyjmujemy jego oryginalny sens, na przykład za Ewagriuszem. „Jeśli jesteś teologiem – modlisz się prawdziwie; jeśli prawdziwie się modlisz – jesteś teologiem”. Tutaj teolog to człowiek, który zna Boga nie na poziomie słów, ale dzięki osobistemu doświadczeniu.

Z drugiej strony teolog w sensie współczesnym (ten, kto mówi o Bogu i wygłasza wykłady, aby pouczyć innych) może być odróżniony od kontemplatyka, a dokładniej mówiąc – od kartuza. Charyzmaty są różne¹. W obu przypadkach znajomość Boga rodzi się dzięki przyjęciu Słowa Bożego. Charyzmat teologa to dar przekazu – słowo zrozumiane dzięki inteligencji, oznajmiane w ludzkiej mowie innym w sposób dla nich zrozumiały. To jest charyzmat apostołstwa.

Jak Maria

Kontemplatyk jako taki jest trochę podobny do Marii. Przyjmuje Słowo jak sekret ukochanego. Nosi je w sercu jako nasienie życia, z którego stopniowo powoli rodzi się Chrystus, w cichym i dla niego tajemniczym posłuszeństwie dla prawa wzrastania, procesie, który przebóstwa i przemienia go. Słowo drąży w nim obszar ciszy i wypełnia ten obszar ubóstwem Ducha. Owocem jest większe uporządkowanie życia i miłości – bardzo proste, ledwie wyartykułowane. To raczej kwestia stawania się, a nie mówienia: *My wszyscy z odsoniętą twarzą wpatrujemy się w jasność Pańską jakby w zwierciadle; za sprawą*

¹ Jest możliwe, że konkretny teolog lub mnich może żyć według obu charyzmatów, jeśli takie jest dobro Kościoła. Tutaj problem rozważamy bardziej abstrakcyjnie.

Ducha Pańskiego, coraz bardziej jaśniejąc, upodabniamy się do Jego obrazu (2 Kor 3,18).

Moja twarz jest odsłonięta, odarta z maski i osłony, całkowicie wystawiona na światło, lecz z ufnością i bez lęku, podczas gdy Duch we mnie woła „Ojcze”. Nasze powołanie jest prawdziwie wzniosłe: mamy być „przemienieni”, zmienić postać, zmienić się w kogoś, kto nie ma postaci, bo ukształtowany jest na obraz Chrystusa. Wtedy będę odbijać twarz Chrystusa – twarz miłości i prawdy – w stronę Boga i moich braci.

Zobaczę moje rysy, jak w zwierciadle, w Duchu Bożym (por. Jk 1,23).

Jestestwo ukryte w głębi serca budzi się, staje się świadome tego, że żyje i porusza się jak dziecko w łonie matki. Opuszczam cichą przestrzeń mojego serca, aby Słowo Boga zabrzmiało w całej czystości. Uciszam myśli, mój wąski punkt widzenia i moje próby dostosowania Słowa Bożego do siebie w zbyt racjonalny sposób, a przez to ograniczam je do moich wąskich horyzontów, przez co tamuję Je i przyjmuję tylko to, co mogę zrozumieć i co odpowiada moim kategoriom. W modlitwie, w uniżeniu przed Prawdą Bożą, przyjmuję Słowo z pokorą serca, zgadzam się, aby moja dusza była przez nią ukształtowana i przemieniona na Jej obraz. „Modlitwa jest kluczem do Bożego misterium” (Grzegorz Palamas).